

# PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 40 (209)

WARSZAWA

7 PAŹDZIERNIKA

1937 ROKU

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TRĘŚĆ

JÓZEF CZECHOWICZ — POEZJA KONSTANTEGO MIKIEWICZA  
WINCENTY LUTOSŁAWSKI — DWIE SPOWIEDZI LITERACKIE  
KAZIMIERZ GLINKOWSKI — PROWINCJA I KULTURA  
KONRAD WINKLER — DYSKUSJA PO OMACKU  
COH-I-NOOR — RYMY CZĘSTOCHOWSKIE

MARIA WINOWSKA

### „WOJNA ŚWIĘTA”

W przedostatnim numerze *Nouvelle Revue Française* znajduje się artykuł Maritaina, który na łamach katolickich i nie katolickich pism wywołał zawziętą dyskusję. Z właściwą sobie odwagą francuski pisarz poruszył zagadnienie bolesne i trudne, które prasa okrążyła z pewnym zażenowaniem (po stronie katolików) lub bez kompetencji (po stronie t. zw. niewierzących). Chodzi o problem „świętej wojny”, rodmuchany do niebываłych rozmiarów przez hiszpańską zawieruchę. Jak zwykle, Maritain staje na stanowisku integralnie katolickim, nie cierpiącym kompromisu. Jak zwykle przeprowadza dystynkcje konieczne i ważne, w których to, co cesarskie, i to, co Boże, odnajduje właściwe sobie miejsce. Ponieważ jednak właśnie dziś o te dystynkcje tak trudno (mniej więcej z tym, czy bije Żyda w imię Chrystusa czy „czerwonego” brata-Hiszpana), dla wielu gorzka jest prawda, którą głosi. Niemniej, i właśnie dlatego trzeba krzyczeć ją na dachach.

Pisano, że „narodowa wojna hiszpańska jest wojną świętą i to najświętszą w Historii” („La guerra española es guerra santa y la más santa que registra la historia”, P. Ignacio G. Menendez-Reigada, O. P. *La guerra nacional española ante la moral y el derecho*, Salamanca 1937). Szermowanie terminem religijnym krucjaty. Z poludniowym ekstremizmem kanonizowano bez reszty sprawę białych, potępiano bez reszty sprawę czerwonych. Bóg był sojusznikiem pierwszych; drudzy widzieli w nim zaprzysiężonego wroga. Nie daremnie cytują hiszpańscy biskupi, w swym liście pałacu w Madrycie, ten posępny epizod: jeden z młocianów strzelał do tabernakulum, wołając: „Podaj się czerwonym, podaj się marksistom”. W wojnej mętnej, tepej, otumanionej głowie widział tam naprawdę sprzymierzeńca faszystów. Może, kiedyś, elyszał, jak falangiści ruszali do ataku z okrzykiem: „Niech żyje Chrystus Król!”

Cel nie uświęca środków. Z morza lez, ognia i krwi nie może się zrodzić idylla zgody i pokoju. I jakkolwiek prawdą jest, że Bóg pisze prosto po liniach krzywych i służy nawet złu, nie wolno posługiwać się świadomością zlem dla osiągnięcia dobra. „Byłoby zdrada Chrystusa, zdrada dobra człowieka, zdrada samej politycznej prawdy mówić „amen” na wyrokowania polityki.

Chłuchym ropieniem, które od lat nurtało Hiszpanię, była niesprawiedliwość społeczna. Kwesii mas pracujących, które nieda uczyniła żerowiskiem komunizmu, nie

przecnie się mieczem. „Wielkiego zgorznięcia”, piętnowanego kilkakrotnie przez Piusa XI („iż katolicy XIX wieku stracili klasę robotniczą”), nie okupi prawo pięści. „Problem ten może być rozwiązany tylko z wielką energią i z wielką cierpliwością, z wielkim rozumem i z wielkim bólem, w atmosferze miłości”. Przypuścimy, że „zli” (czerwoni) ulegną „dobrym” (białym): czy tragedia Hiszpanii na tym się skończy? I choćby nawet jakaś wielka reforma społeczna zaspokoila kiedyś słuszne roszczenia hiszpańskich muzułków: kto im lzy powróci? Rany, zadane w tej walce bratobójczej, nie zablizną się rychło. Wojna jest zawsze złem, wielkim złem, zwłaszcza wojna bratobójcza. Może być „złem koniecznym”, jak w obecnej, hiszpańskiej przegródzie: czynniki historyczne złożyły się na nią fatalnie. Ale stąd do jej uświęcenia, do przypisania jej do stron *całej* słuszności, drugiej *całej* winy — dystans daleki. „Wprowadzenie mitu wojny świętej w konflikty, które dziś nurtują Europę, byłoby klęską nie powetowaną”.

Maritain rozprawia się z samym pojęciem „wojny świętej”, które w formach cywilizacji t. zw. „sakralnej” mogło mieć pewien sens („jakkolwiek trudny do wytlumaczenia”). Były epoki, w których wojna, to narzędzie do gruntu „cesarskie” i do czasu, mogła poniekać, w intencji serc a nawet w rozwoju historii, służyć celom duchowym. Tak ją pojmował islam, chrześcijańskie średniowiecze. Czy jednak i tu historia, ten Boży sąd nad światem, nie świadczy przeciw niej? Krucjaty, podejmowane dla świętej sprawy, zawiody, nie osiągnęły celu.

Natomiast w takich formach cywilizacyjnych, jak nasze, w których to, co doczesne, i to, co duchowe, jest wyraźnie zróżnicowane, w których do czasu nie jest narzędziem dla porządku sakralnego, w cywilizacjach typu świeckiego samo pojęcie wojny świętej jest absurdem. Nawet wówczas, gdy wartości religijne wchodzi w gre, zwalczane przez jednych, broniące przez drugich, wojna nie staje się przez to świętą; przeciwnie, wpłataje w świecki kompleks, wartości te „sekularyzują się” łatwo i mijają ze swym celem. „Wojna taka wystawia na bluźnierstwa to, co święte”, doprowadza do paroksyzmu nienawiści religijnej, utożsamianej z partią, wciąganej w służbę polityki.

W porządku doczesnym użycie siły może, niekiedy, być czymś koniecznym. W pewnych, rzadkich wypadkach można uważać wojnę za słuszną. „Lecz jeśli ktoś sądzi, że zabijać musi, niechżeż to czyni w imię narodu albo ludu społecznego, — to i tak jest aż nadto okropne — nie w imię Chrystusa Króla, który nie jest wodzem

wojennym, ale Królem łaski i miłości, ukrzyżowanym za wszystkich ludzi, którego królestwo nie jest z tego świata”. „Gdyby królestwo moje było z tego świata, wzdry by się bili słudzy moi, żebym nie był wydan Żydom”. Gdy mieszkańcy pewnego miasta wzbraniłi się przyjąć Jezusa „widząc to uczniowie jego, Jakub i Jan, rzekli: „Panie, chcesz, rzeczymy, aby ogień zstąpił z nieba i spalił je. A obróciwszy się sfukał je, mówiąc: Nie wiecie, czyjego ducha jesteście. Syn człowieczy nie przyszedł dusze tracić, ale zachowywać”. (Jan XVIII, 36; Łuk. IX, 54 — 6).

„Strasnym świętokradztwem jest masakrowanie księży — choćby to byli „fałszyści”, — wszak są to słudzy Chrystusowi — z nienawiści do religii; ale jest także świętokradztwem — nie mniej strasnym — masakrowanie biednych — choćby to byli marksści: wszak jest to lud Chrystusowy — w imię religii. Jest świętokradztwem oczywistym palenie kościołów i świętych wizerunków, czy to w slepej pasji, czy też, jak w Barcelonie, z zimną metodą anarzystyczną i ze wściekłą systematycznością; i jest również świętokradztwem przybierając muzułmanów w obrażki i medale Serca Jezusowego, aby święcie mordowali synów chrześcijańskich i wciągać Boga w służbę walki, w której przeciwnik jest uważany za niegodnego wszelkiego szacunku i wszelkiej litości. Świętokradztwem jest profanowanie świętych miejsc i Najświętszego Sakramentu, przesładowanie wszystkiego, co tylko poświęcone jest Bogu, gwałcenie i katanie nie zakonne, profanowanie i wystawianie na pośmiewisko grobów; i świętokradztwem jest rozstrzelanie setek ludzi z okazji obchodu uroczystości Wniebowzięcia lub niszczenie przy pomocy bomb rzucających z samolotów, jak w Durango — *albionem*”.

<sup>1</sup> Na uroczystym zebraniu, w Alkazarze w Sewilli, generał Franco mówił do Maurów, wracających z pielgrzymki do Mekki (*Diario Vasco*, 4. IV. 1937): „Hiszpania i Islam były zawsze ludami, które się najlepiej rozumiały” (Yo deseo que mediteis en estas palabras España y el Islam han sido siempre los pueblos que mejor se comprendieron”). Ale czy ta chęć porozumienia jest obustronna? W swojej ciekawej książce *La cruella España* bracia Tharand przystająca kantyleny naukarskie, pełne woli odwetu: „Ofiarowali mi pieniądze, Dwaściecia dros, karabin i proch, i nadzieję miast obrabionych. Odmówłem pieniędzy, prochu i broni, Zaciągnęłem się dla miłości Bożej, Przepasałem tunikę ciasnym rzemieniem. Rzuciłem bochen chleba w kapuzę burmusu. Powiedziałem: „Otom się. Chwaliłi mójród wojowniczy. Lecz pochwała ich na cóż mi się zda? Walecz za radość zemsty od dawna wyglądanej. Chcę widzieć ich ziemię, jak ogni naszą, Okrytą ścierwem i zgłiszczaniami. Chcę widzieć ich grody w plomieniach, Ich córy w rękę naszych żołdaków”.

wojna święta nienawidzi zawzięcie od niewiernego wierzących, którzy jej nie służą — kościołów i zapelniającego je ludu oraz księży, odprawiających mszę; lub, jak w Guernica, całego miasta wraz z kościołami i cyboriami, przy akompaniamencie karabinów maszynowych, zmiatających uciekającą ludność. Okrucieństwa czerwonych były przedmiotem niejednej relacji; liezba zbrodni i grabieży, zrodzonych czy to z historii zbiorowej, czy to z indywidualnych gwaltów, przewyższa niewątpliwie wszystkie nasze wyobrażenia. Lecz oto zaczynają również napływać świadectwa o terrorze białych i to, co już o nim wiemy, nasuwa myśl, że siega on niezwykle wysokiego poziomu okrucieństwa i pogardy dla ludzkiego istnienia. Ale cóż! W imię świętej wojny pełni się on pod znakami i sztandarami religijnymi, krzyż Jezusa Chrystusa bliższy jak symbol wojenny nad agonistą rozstrzelanych; i ani serce człowiecze ani jego dzieje nie mogą tego znieść. Człowiek, który nie wierzy w Boga, może pomyśleć: w gruncie rzeczy, to tylko okup nowego porządku i jedna zbrodnia warta drugiej. Człowiek, który wierzy w Boga, wie, że nie może być większego bezładu: jest to tak, jak gdyby kości Chrystusowe, których siepacze na Golgocie nie śmieli tknąć, były lamane na krzyżu przez chrześcijan”.

Maritain zaznacza słusznie, że tendencja do kanonizowania wojny tłumaczy się po części temperamentem hiszpańskim, skłonnym do ekstremizmów. W tym znaczeniu nie tylko biali prowadzą wojnę świętą, ale także czerwoni, broniący do upadłego swojej „świętej” sprawy. Mit wojny świętej zmącił w obu obozach umysły i serca. W oparach krwi już brat nie rozpoznaje brata, najistotniejsze węzły porwały się w strzepy, każda strona przypisuje sobie *całą* słuszność — drugiej: *całą* winę. W tym zaślepieniu generalnym nie pozostaje już nic, prócz jednego pragnienia: wyciąć w pień, zmieść z powierzchni ziemi wszystkich „złych”: marksistów czy faszystów.

Czyby wojna hiszpańska była smutnym prognostykiem charakteru przyszłych wojen? Christofer Dawson, którego cytuje Maritain, zauważył w niezmiernie ciekawym artykule w *The Colosseum* (marzec 1937), że konflikt międzynarodowy, który by wybuchł dziś, byłby nie tyle wojną kapitalistyczną, ile „walką wiar o posiadanie umysłów ludzkich”. „Potęgi faszystowskie będą sądzić, że bronią chrześcijaństwa i kultury europejskiej przeciw ateistycznemu komunizmowi, podczas gdy państwa demokratyczne i socjalistyczne będą sądzić, że bronią sprawiedliwości i pokoju przeciw tyranii militarystycznej i kapitalistycznej”. Stąd niebezpieczeństwo „międzynarodowej wojny domowej”, które *Osservatore Romano* sy-

gnalizował przed kilku miesiącami. W tej fazie historii partnerzy walki będą przede wszystkim „idealistami i propagatorami” i „zasady światopoglądowe odgrywać będą rolę równie istotną, jak gazy trujące”.

W obecnych warunkach mił wojny świętej jest podwójnym niebezpieczeństwem: dla religii, którą wciąga w służbę cesarza i zamienia na narzędzie partykularne, prowadząc do tego, co Maritain nazywa „islamizacją” sumień, i dla porządku doczesnego, któremu zagraża tym straszliwiej, że rozporządza wybitną dynamiką ideową, żerującą na religijnych dyspozycjach duszy ludzkiej. Wiedza o tym dyktatorzy współczesni i nie wahają się eksploatować dla swoich celów owej *idee force*: hiszpański requeite inaczej idzie na śmierć w przeświadczeniu, że tylko wytipowanie czerwonych uratuje sprawę Boga i Hiszpanii (nb. dzięki temu właśnie przeświadczeniu może być bohaterem i męczennikiem), niż gdyby bronili, po prostu, jak dawni karliści, idąc monarchizm. Polityczne tu konfliktu objawia się dopiero w całej groźnie tam, gdzie po przeciwnej stronie frontu stają również katolicy, walczący w imię tego samego Boga. W czasie przerażających wszelką ohydę walk na gruncie baskijskim szeregły do ataku po jednej stronie z okrzykiem: *Jaungoikua eta lege zarr!* (po baskijski: „Za Boga i nasze stare prawa!”), po drugiej: *Por Dios y por la tradición!* („Za Boga i za tradycję!”). Wyciano się w pień bez pardonu: wiarygodni świadkowie stwierdzają, że ani u czerwonych, ani u białych nie było wzięń i rannych. Na froncie Bilbao requeiti szli do ataku pod przewodnictwem proboszcza z Lauzan, Don Monico, który w jednym ręku trzymał wielki krucyfik, w drugim karabin i wołał: *Por san Miguel y por la religion!* Atakowanym był lud baskijski, najgłębiej religijny, do gruntu

katolicki, namiętnie przywiązany do swojej ziemi, do swoich praw, który powstał zbrojnie przeciw białym dopiero wtedy, gdy wszystkie próby porozumienia, za cenę wyrażonej autonomii, spęły na niczym. Przyjmijmy racje polityczne, które skłoniły białych do zgniebienia Basków: byłoby to prawo — czy bezprawie wojny. Ale podnożenie sprawy do rangi „świętej krucjaty”, ale szermowanie Bogiem w walce przeciw braciom wyznającym tego samego Boga, ale palenie kościołów dlatego tylko, że nie są to kościoły „białych”, ale kościoły „czerwonych”, w których mszę odprawia nie „biały” ale „czerwony” ksiądz, świadczy o zupełnym zwyrodnieniu poczucia słusności i musi napędzić oburzenie każdego religijnego człowieka. Jeśli już chęć wycinać się w pień, wasza to sprawa, nie wstrzymaj was siła, ale na miłość Boską, nie angażujcie w walkę najświętszych wartości, nie kanonizujcie bestii; nazywajcie rzeczy po imieniu!

Z hiszpańskiego pożaru zarzewie może paść jak lont na inne, ideowe prochnowce. Inne partie mogą powstać przeciw braciom — w imię Boga i ojczyzny” z tym samym fanatyzmem, z tym samym poczuciem misji dziejowej, z tą samą, niszycielską pasją. Mit wojny świętej jest jak zaraza w powietrzu. Nieodstępnie przed nim ostrzegają: trzeba go piętnować jak coś hańbiącego człowieka, jak wielką zdradę człowieczeństwa i wielką zdradę Boga. Już sama sprawa jest wojna — zwłaszcza wojna domowa — jest wielkim złem, rozpętanem bestii w człowieku, nawet najszlachetniejszym, ciosem w samo serce kultury. Niechżeż się jej przynajmniej nie kanonizuje!

Maritain podkreśla słuszenie, że nie jest rzeczą cudzoziemców, najczęściej źle lub stronniczo informowanych, zabierać głos autorytatywny w sprawie hiszpańskiego

konfliktu. Zwłaszcza katolicy winni by tu być z największą rezerwą. My wiemy, że bramy niebieskie nie przemożą Kościoła i że z tej siejby krwi powstać musi plon stokrotny, ale w przesładowaniach katolicyzm zawsze zyskuje. „Kiedy jednak w obliczu dramatu, który rozgrywa się przed nami, jedni zapowiadają nam rozwiązanie „druzgoczące” na rzecz czerwonych, co równa się zagładzie co najmniej na przeciąg dwu generacji wszystkich instytucji religijnych w Hiszpanii i nastanie bojującego bezboźstwa lub „walki z Kościołem” („anti ecclesialisme”) o wiele cięższej i groźniejszej niż antyklerykalizm polityczny tak iż lud ochrzczony, lud świętej Teresy i Jana od Krzyża, byłby pozbawiony prawa poznawania prawdy Bożej i dzieła apostołstwa katolickiego musiałoby być podjęte od samych katekumbi; i gdy druzdy zapowiadają nam rozwiązanie również „druzgoczące” w znaczeniu przeciwnym, które nie tylko narzucałyby religii, uznanej za środek rządzenia i „wcielonej” w organizm polityczny, ciemiężycielską opiekę<sup>2</sup>, lecz ponadto wydrą-

<sup>2</sup> Obok katolickich i rojalistycznych „requeites” (dawnych karlistów) w skład wojsk narodowych wchodzi głównie Falangista, którzy żywcem transponują na hiszpański grunt program skrajnego stalinizmu. Oto kilka zdań z ich programu: 3. „Pragniemy energicznie Impetrium”. 4. Oddamy wojsko na lądzie, na morzu i w powietrzu, przed całym narodem, wszystkie honory, na jakie zasługuje; na jego wójt militarny duch przeniknie całe życie Hiszpanii. 23. Główny myśl Państwa jest, przy pomocy surowej dyscypliny wychowawczej, stworzyć ducha narodowego monego i ujednolonego, ugruntować w duszach przyszłych pokoleń radość i dumę patriotyczną. 25. *Ruch nasz wiodzie w siebie katolicyzm* — majcy w Hiszpanii przeszłość chwałobną — dla odbudowy narodowej. Kościół i Państwo będą uzgadniać swoje wzajemne kompetencje, tak jednak, żeby nie

żyłoby między nią i ludem przepaść żalu i goryczy, wysuszając wewnętrzne źródła jej żywotności, tak iż głębokie przyczyny duchowych ran, które jątrzą się dziś, nadal zatrwałyby historię, my nie możemy lekceważyć tych przeciwnych niebezpieczeństw. I czegoż powinniśmy pragnąć, jeśli nie tego, aby los oszczędził Hiszpanii obu niebezpieczeństw? Tu Maritain wskazuje na konieczność trzeciego rozwiązania, które by za wszelką cenę wyprzeżyło katastrofę polityczną i położyło kres bratobójczej walce. Wszyscy ludzie dobrej woli, jakikolwiek by byli skądinąd przekonani, jakikolwiek by mieli sympatie, w imię samej cywilizacji i kultury winni współpracować wedle sił nad przywróceniem pokoju w Hiszpanii. Nie jest to dziś sprawa łatwa i prosta, ale trudności przedsięwzięcia nie uprawnia do dezercji. Trzeba wszelkimi środkami kształtować w tym duchu opinię międzynarodową, ponad namiętnościami partyjnymi prowadzić akcję pacyfikacyjną, sprokować — może — jakąś interwencję, która by obudziła walczące obozy z oparów krwi i ze ślepej pasji zniszczenia („exterminacion!”: mot d'ordre białych i czerwonych) i „pozwoliła hiszpańskiemu narodowi swobodnie się wypowiedzieć w sprawie przyszłego ustroju”.

Apel Maritaina może dziś niejednemu wydać się czczą utopią: zbyt powikłłaby się sprawa, by można je rozpatrzeć bez gordyjskiego cięcia. A jednak bywają wypadki, gdy trzeba bronić pozycji, na pozór straconych: „nieś mimo wszystko świadectwo ducha Chrystusowego”.

MARIA WINOWSKA

było dopuszczone żadne naruszenie państwowego prawa, żadna czynność mogąca dotknąć godności Państwa i całości narodowej”. Identyczne zasady były punktem wyjścia niemieckiego Kulturkampfu.

## JÓZEF CZECHOWICZ

# POEZJA KONSTANTEGO MIKIEWICZA

*Słowo wstępne.* W roku zesłany zwrócił się do mnie rodzina zmarłego tragiczną śmiercią młodzieńczego poety Konstantego Mikiewicza, abym opracował do druku rękopisy wierszy pozostałych po nim. Podjąłem się tej pracy chętnie, bo poezje Mikiewicza już znalazłem w książeczki wydanej przez zespół z dwoma kolegami, Ostem i Mióduszkiewiczem p. n. *Profilie*. W tamtym debiucie on właśnie dał wiotkę poetycką najciekawsze, najbardziej samodzielną i najmocniej nasyconą żywiołem poezji. Czytając te strofy czuło się: *Ecce poeta*.

Wiedziałem więc, że z poetą będę miał do czynienia. Nie przeczułem — że z poetą dużej miary.

Dziś, kiedy *Poezje* Mikiewicza ukazały się na półkach księgarskich, chciałbym opowiedzieć, jak żyłem z nimi, jak nad nimi pracowałem, co w nich ujrzałem.

O pracy nad wydaniem. Przeczytałem wszystko, co Rodzina poety dostarczyła mi w rękopisach i maszynopisach, starając się chwycić atmosferę tych wierszy. Układając tom do druku trzeba było przeprowadzić selekcję wśród utworów. Niektóre z nich, przeważnie najwcześniejsze chronologicznie, wykazywały pewną nieporadność wobec twórcywa poetyckiego, wstrząsającą dla nas, autorów teje sztuki, czytających między wierszami, ale może nieciekawą dla zwykłego czytelnika poezji, który żąda rzeczy w ich możliwie najdoskonalszym kształcie — i słuszenie.

Aby więc tom nabrał pełni wyrazu, zebrałem w nim kilkanaście najbardziej dojrzałych wierszy z ineditów oraz z owej książeczki pt. *Profilie*.

Ustalanie tekstów było nie do przeprowadzenia wobec faktu, że rękopisów samego poety miałem bardzo niewiele, przeważnie były to maszynopisy robione już przez osoby trzecie. Opracowanie w tym kierunku musiało się ograniczyć do ingerencji wydawcy w dwóch czy trzech miejscach, gdzie błąd przepisywaczy był widoczny i godził w logikę artystyczną utworów.

W układzie kolejności wierszy kierowałam mną tylko troska o rozmaitość formy i treści. Staralem się unikać stłoczenia utworów podobnych. Zdawało mi się też, że ten entuzjasta piękna, gdyby sam układał swój tom, zaciąłby go od wiersza programowego pt. *Poezja*. Tak też i ja zrobiłem.

Zamknięto książeczkę szkicem, sylwetką autora. O *samych wierszach*. Zżyłem się z nimi, bo choć nie spełniając moich postulatów sztuki poetyckiej, choć zrodzone w ramach obcej mi techniki pisarskiej, przecież z nie było jakiego źródła powstały: z fantazjotwórstwa. A etaje się to prawdą coraz szerzej uznana, że jedyną godną artysty estu-

ka jest ta która tworzy, nie ta która kopiuje i rejestruje.

Gdy ucisk tego, co popularnie nazywamy „nie-ja” parł w wiekach średnich na człowieka z potworną mocą, duch jego dźwigał się do wyżyn niebawych i z fantazjotwórstwa powstały katedry, witraże, kompozycje muzyczne i poematy wspaniałe niż kiedykolwiek. Dzisiejszy napór barbarzyństwa życia gromadnego stwarza podobne warunki. Tylko przysłuna i fortyfikacja, burżuazyjna demokracja rentierskiego typu mogła zrodzić naturalizm, realizm czy weryzm. Kiedy sprawy doczesne dają dosyt, artyści zdążają ku ich apoteozie, aby i koniec uwieńczyć dzieło.

Lecz gdy w boju lamie się duch ludzki, przemawia przez nas jego wielki głos i słyszmy, czegośmy nie słyszeli, widzimy, czegośmy nie widzieli. Wiem, że to patetyczny nie brzmii, i wiem, że najłatwiej śmiać się z patosu, ale tak się śmieją tylko ci, których już nie więcej nie cieszy...

Ze świata stworzonego przez niego samego była wiersze Mikiewicza. Te, które mówią o sprawach społecznych (niewiele ich jest), świadcza tylko, że diagnoza jest słuszną, że chodziło o przezwyciężenie okropności warunków zastanych przy pomocy miecza sztuki. Przysięgliśmy marksizmowi podoba się w takich wypadkach mówić o „ucieczce od życia”. A przecież w tych poezjach młodzieńca dwudziestoletniego jest widać zapachu życia niż w całej witalistycznej programowo produkcji skamandry.

Że poeta jako ciężar zdarzeń odczuwał akurat pogrom socjalizmu austriackiego, nie zaś co innego, to przypadek, symbol niejako. Nie o to chodziło co go gnębiło, ale że w ogóle był gnębiący przez coś.

*Jeszcze o wierszach w ogóle.* Swoboda artysty jest warunkiem jego istnienia: jest zjawiskiem z fizjologii tego dziwnego gatunku ludzi, lubującego się w zamarmotywanu płócien farbą, w zaplataniu rymów i asonansów oraz układającego dźwięki w korowody wzruszający tak czy inaczej.

Swoboda aż do dna, to było hasło twórcze Mikiewicza w życiu, ograniczone w poezji nieuchwytnymi imperatywami harmonii. Mało uświadomione a przecież ważkie zasady artystowskie porządkowały chaos barwy i kształtów, składający się na wyobraźniowy świat poety. A był to świat, w którym: „usmiechnięta plotka wam niesie: paż poeów narodzil się w trawie! Urzędowe krytyk marginesy zdobi w kwiaty i kółka pawie!”.

Pogodny, ze słonecznego igrania powstały horyzont tych wierszy ukazuje rzeczywiste wyzwolenie. Akcenty rozbrajające smutku, brzmieją tu i owdzie („Rzeka płynie na wznak nujące: rzucisz się w mnie liście straconym, rzucisz...”), podkreślają prawdę tego świata swobodnego, dodając mu głębi i perspektywy.

Te wiersze miesząją codzienność z feerią. Te wiersze ukazują igranie wyobraźni — tak lekkie i piękne jak igranie blaszków na lusec fali.

## CO MÓWI SŁYNNY EKONOMISTA

Loteria klasowa — jak w ogóle wszystko — ma swoich zwolenników i przeciwników. Jednym z zasadniczych zarzutów, który stawiają loterii poważni sensaci i moralisci, jest ten, że skłania ona ludzi do zawierzenia swoich spraw przypadkowi i do pokładania zbyt wielkich nadziei w szczęściu, co razem na sprząjkę wytworzeniu się wśród ludzi lekkomyślności.

Z zarzutem tym rozprawia się nie kto inny, ale ekonomista niemiecki, Adolf Lasan, zresztą sam wróg loterii. W swojej książce *Loteria i ekonomia polityczna*, wydanej przez Two Ekonomiczne w Berlinie, pisze on mianowicie:

„Jeśli chodzi o szczęście, to właściwość dzieli loteria mniej lub więcej z wszystkimi ludzkimi dążeniami i stosunkami. Od szczęścia zależymy we wszystkich naszych poczynaniach i zapobiegamy mu. Ktoś jest pracowity i dzielny, pilny i zapobiegliwy — jest to niewątpliwie bardzo korzystne dla niego i dla wszystkich; nie wystarcza jednak

już to samo, by zawsze osiągnąć zamierzony cel. Musi mu jeszcze towarzyszyć szczęśliwy zbieg okoliczności, musi jeszcze liczyć na łaskę okoliczności, towarzyszących jego wysiłkom. Gdy one są przeciwnie, wysiłki, choćby wspomagane przez najpiękniejsze zalety i najświetniejszą zdolność, pójdą na marne, najpiękniejsza zaleca może być zapomniana. Odnosi się to zarówno do przemysłowca, jak do kupca, do urzędnika, żołnierza, uczonoego i artysty.

„Człowiek sieje swoje poczynania w czasie, jak wieśniak ziarno w roli. Czy ziarno wszędzie, z góry tego przewidzieć nie można i zależy to od słońca, deszczu, wiatru i ciepła”.

Tych logicznych wywodów niemieckiego ekonomisty odeprzeć nie podobna. Wyciągnijmy zatem z tego praktyczny wniosek i spróbujmy swego szczęścia w grze na czterdziestą loterii klasowej, której cignienie pierwszej klasy rozpoczyna się 21 października r. b.

*Szerzeg cytatów:* Str. 20. „Wsparty na szczudłach drabin, piosenny rzemieślnik ornamentem pogodnym młode cegły pieści... narozie muru pioską starannie uprząta pod dnia nadchodzącego złoty nos trójkatny...” Str. 25. „Komu powiem noy flaga? Jakiej złotopodniej żonie? Nikt nie patrzy w snu mego nagość, okno pustynia dzwoni...” Str. 15. „Gibko nady, wilgotnie wysmukli, brzęczą w mięśni oliwną pukłose. Kloni w rybi odwagi spokój wionogrona dymiących loków...” Str. 40. „Na błękitnych dziś chodzisz szczudłach i słoucha kulem spieszny radosny rój wróbbi w rozszum kwiatowych republik...” Str. 10. Rzeka szepcze: „Oto ległam, wilgotne dziewczę. Póki czas, do dna nie wypięścię, o zachodzie po innej wodzie hoso przy brzegu wam chodzi. Pociemnieją me wiry i kola w smutne, wielkie oczyska wólów...” Str. 6. „Ni stąd ni zowąd dzwonią mi jakieś głowy przez okna owal, to koleczy wiszą na drzewie i wolią: Mikiewicz! Mikiewicz! Jak tyś sobie cichutko zwirowała!...” Str. 26. „Nie plam! Krwi ci przywożę ciepło białej trumny lodzią żaglową. Nozem od ziemi się odepnę, srebrnym nożem będę wlosławca...”

Cytowałem więcej, całą książkę. Cała bowiem jest piękności pełna.

*Sen na jawie.* Pisząc kierował się Mikiewicz tylko dwiema troskami: aby wyobraźni wolnej nie nie spętało i aby jej tętent dał się uszereźnić, udostępnić czytelnikowi poezji pod kształtem spleźnietia metafor, aliteracji, zaśpiewów i innych tropów poetyckich. Niech zalew bogactwa w świadomi czytającemu bogactwo wnętrza tego, który śni na jawie.

Bowiem poezja wyobraźni to sen na jawie. Błogosławiony, kto umie łowić eny i odbarowywać nimi bliźnich.

*Dlaczego.* Dlaczego tak ważną sprawą jest ocena garstki wierszy młodzieńczego poety, który nie odegrał prawie żadnej roli w naszym życiu literackim? Dlaczego nie podobna pominąć milczeniem tych utworów, niekiedy niedociąganych, a zawsze bardzo „młodych” (powstały między 17 a 21 rokiem życia)? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Dlatego, że poezja Mikiewicza to poezja sprzymierzenia na wielkim froncie walki o nową sztukę. Mam nadzieję, że już i najpóźni zrobbielni narzesze, że ta walka, to nie tylko było o nowe „smaczki i chwyciki”, ale o rzeczy wielkie, o istotę sztuki i jej rację bytu. Wyobraźnia organizuje chaos poetycki. Wyobraźnia tworzy. Może stworzyć także inny, lepszy świat jutra. Może stanie się dźwignią, która „ruszy z posad bryłę świata” ku nowej młodości.

JÓZEF CZECHOWICZ

WINCENCY LUTOSŁAWSKI

## DWIE SPOWIEDZI LITERACKIE

Firma wydawnicza Heinemann wydała prawie jednocześnie dwa bardzo ciekawe tomy autobiograficzne, z których wyrastają przed nami dwie postaci współczesnych angielskich pisarzy. Jeden z nich, Arnold Bennett, umarł w 1931 roku, osiągnąwszy za życia ogromne powodzenie, wyrażające się np. w tak nadzwyczajnym dostępie 2200 złotych (wówczas 50 funtów) za krótki artykuł obojętności 50 wierszy (dokładnie 500 wierszy). Miał swój jacht, dużo podróżował i obcował z wieloma sławnymi ludźmi.

Drugi pisarz, wcale nie mniejszego talentu — to Mikołaj Gubski, Rosjanin, piszący po angielsku. Choć wydał już sześć powieści, które pozyskały niemałe uznanie, walczy jeszcze z nędzą, żyje na przedmieściu londyńskim i w każdym swym dziele uskarża się na bezdusność i obojętność Anglików. Wszystkie jego powieści przedstawiały epizody z własnego życia autora, od którego dotąd nie mógł się oderwać. Teraz, mając lat 48, daje nam nadzwyczaj szczerą i interesującą opowieść całego przebiegu tego życia pod tytułem *Angry Dust* (*Zagniewany pył*), przez co chce wyrazić dotychczasową swoją postawę: poczucie własnej niemocy, która go czyni jakby pękniętym miotającym przez każdy powiew, i wewnętrzny protest przeciw kryzysom od życia dożdanym, czyli gniew ten pył. Jest to namienne oskarżenie życia i świata, a w szczególności życia emigranta z rodziną w obcym kraju wśród ludzi obojętnych, w warunkach dla niego wstrętnych.

Opowiada, jak ojciec jego, wysoki carski urzędnik w Petersburgu, wysłał go jako jedenaścioletniego chłopca, samego, w 1900 roku do znanych Niemców w Starogardzie w Prusach. Tam przez kilkanaście miesięcy uczęszczał do niemieckiego gimnazjum. Opisuje swych kolegów i nauczycieli, nie bez złośliwości, a także daje obrazki prześladowania Polaków wśród uczniów i włościan. Nauczyciel łaciny był okrutnie wszystkich prócz małego von Gubski, który jako syn ekscelencji wzbudzał szczególne uszanowanie. Mieszkał w rodzinie urzędniczej i czasem odpowiadał przyjaciół ojca na wsi. Po kilkunastu miesiącach ojciec przyjechał po niego, przewiózł go do Petersburga i oddał do cesarskiego liceum, w którym od razu pozyskał stypendium, zapewniające całkowite utrzymanie. Wkrótce potem ojciec umarł i Mikołaj spędził w zamkniętym zakładzie całą młodość, odwołując z rzadka matkę w miescie. Był odosobniony i upośledzony, gdyż koleży należeli do najbogatszych rodzin, w znacznej części utytułowanych, a on nie miał pieniędzy, bo emerytura po ojcu zaledwie wystarczała na utrzymanie matki i siostr.

Był więc narażony na liczne upokorzenia, które wyrabiały w nim goręć i już czynił go tym pyłkiem, za jaki się podaje. Miał kolegę, Wasilkę, który go uczył pijaństwa, a potem nawet rozpusty. Na tej drodze szczęśliwie Mikołaj zatrzymał się, pod wpływem wewnętrznego przeżycia. Poczytywał je za cudowne wyleczenie z choroby, na skutek uczynionego ślubu, obiecującego poprawę.

Raz z rodziną wuja spędzał lato na Kaukazie i tam doznał wielkiego wrażenia, gdy po ciężkiej nocy z pijanym furmanem, który zabłądził, o świecie usłyszał szczyt góry Elbrus w pełnej okazałości. To wrazenie na głębię przeżycia od rozpaczliwej sytuacji do cudownego zachwytu pozostało mu na całe życie.

W liceum miał kolegę Polaka, Stasia Chomińskiego, który zameczał się pracą, żeby słabszym kolegom pomagać, i rozdał im wszelkie pieniądze, jakie z domu dostawał. Wyższe kursy liceum dawały uniwersyteckie prawnicze wykształcenie, mające przygotować uczniów do zajmowania posad rządowych. W 1909 r. Mikołaj ukończył liceum i wstąpił do marynarki, lecz po roku wrócił do Petersburga i został urzędnikiem. Znowu znalazł się w obcym otoczeniu, obserwował je i maluje całą bezduszną biurokracją.

Poznał tam jednak zapalonego reformatora, Dremina, który chciał przeprowadzić reformę agrarną przez osadzenie włościan na indywidualnych działkach, zamiast periodycznego podziału roli gminnej. Pod wpływem Dremina Gubski zaczął dużo czytać, szczególnie odkąd w jego otoczeniu poznał dziwnego filozofa, Tawrowa, który wywarł duży wpływ na niego. Miał on rozległe wykształcenie i uważał za najistotniejszą treść życia osobiste stosunki, co Gubski w trzech swoich powieściach później rozwinął. Daje obrazki pijaństwa wśród urzędników i opo-

wiada, jak Kriwoszejn dostał dymisję za to, że nie chciał przyjąć Rasputina.

Mikołaj pobierał wysokie wynagrodzenie — trzysta rubli, czyli półtora tysiąca złotych miesięcznie. Pomagał matce i siostrze, a nawet w czasie wakacji odbywał podróże. Zwiedził Egipt i Grecję. Potem uprawiał Jogo indyjską i zachwycał się Bagawaditą. Miał liczne znajomości. Proponowano mu wyższe stanowisko sekretarza ministra, które odrzucił, mając wstręt do funkcji dyplomatycznych. Gdy wojna wybuchła, usiłował dostać się na front, ale zdyskwalifikowano go za jakąś wadę wzroku. Został sekretarzem w radzie wojennej. Wtedy poznał rodzinę Szan Girejów, których córka Nadia obduziła w nim trwałe uczucie. Mikołaj otrzymał przez wuja misję do Londynu, pobrali się z Nadią i opuścili Rosję na zawsze w październiku 1916 r.

Nadia, która była w Rosji zagrożona suchotami, wyzdrowiała. Ale wkrótce rosyjskie przedstawicielstwo ministerstwa wojny w Londynie zostało zwinione. Jeszcze na krótki czas Mikołaj piastował urząd wicekonsula w Newcastle, ale i to po przewrocie bolszewickim upadło. Mikołaj przyjął stanowisko korespondenta zagranicznego w biurach jednej firmy sprzedającej węgiel, z wynagrodzeniem, które początkowo wynosiło 3 funty tygodniowo, potem 5 funtów, a po pięciu latach pracy 350 funtów rocznie. Dopiero po kilku latach takiej pracy bezdusność, która go przyciemniała, zaczął pisać, najpród traktat o charakterze Anglików i Rosjan, potem szereg nowelek i powieści. Pierwsza wyszła w 1930-ym r., druga w 1931-ym r., ale nie miały one większego powodzenia — rozeszły się w 800 egzemplarzach. Dopiero czwarta, pod tytułem *Its silly face* (*Jego głupia twarz*), wydana w 1934-ym roku, zwróciła uwagę na autora i odtąd co roku jeden tom wydawał, a autobiografia wydana w lutym 1937-go r. miała drugie wydanie już w marcu tegoż roku. Dedykuje ją córce i synowi, urodzonym w Anglii w 1917-ym i 1922-ym r. Ale o swych dzieciach wyznaje, że nie miał wpływu na jego życie, i on też nie miał wpływu na nie, choć choraz to lepiej je rozumiał i lubił. Kończy swoją autobiografię zarzysmem postanowień na przyszłość, które się streszcza w jednym przykazaniu: „Bądź naprawdę sobą”. To znaczy —

wyzwól się od potęgi przyzwyczajenia i cudzych wpływów i osiągnij wewnętrzną zgodność z własną istotą, konsekwencję własnego działania. Hasłem staje się planowane życie wedle celu i niezależność od nastrojów.

Tym nastrojom dużo miejsca poświęcił w opowieści swego życia, wykazując jak często czynił to, czego rzeczywiście nie chciał, szczególnie w stosunku do kobiet, które mu się podobały. Kończy słowami: „Ludzie, którzy byli mi bliscy, zawsze mi pozostaną w pamięci i nie będę ich miewał z sobą. To za nimi widzę gromadę szarych ludzi, których znalazłem i którym szły, a za nimi las, wzgórza, pokryty niegłęboką szczytą, a nad nimi błękit niebios i słońce, to samo słońce dla Wschodu i dla Zachodu, samo jedność, którą człowiek, każdy człowiek, może odnaleźć w głębi własnej jaźni”.

Widać tu jakby wyzwolenie z gniewu przez tyle lat wywołanego przez niepowodzenia. Gubski weszła na swoją właściwą drogę i — jeśli wytrwa — to przeciwności zwycięży. Oby wyrażał poza ciśnień granice osobistego doświadczenia i spojrział bezstronnie na całość życia, wybierając w nim to, co warto podawać czytelnikom, o ile się potrzeby tych czytelników rozumie.

Przedwzrost kontrast z tętniącą życiem opowieścią Gubskiego stanowi mimowolna autobiografia znakomitego pisarza, Arnolda Bennetta.

Mimowolna jest ta spowiedź, bo składa się z listów, które najoczywiej nie były przeznaczone do publikacji. Pisał je w ciągu ostatnich 15-u lat swego życia regularnie co tydzień do siostrzeńca swego i spadkobiercy, Ryszarda Bennetta. Ten w pięć lat po śmierci wuja, gdy spostrzegł, że inne jego pisma cieszą się w dalszym ciągu powodzeniem, wpadł na pomysł, żeby te listy rodzinne ogłosił drukiem (Arnold Bennett's *Letters to his nephew*). Nie zawierają one żadnych wynurzeń ani refleksji; nie zdradzają wewnętrznego życia; autor, gdy zaczął pisać, miał już 50-ty rok i był takim, jakim go życie ukształtowało. Nie trapiły go żadne wątpliwości ani skrupuły. Jedynym celem jego było pisanie dalszych powieści, scenariuszy filmowych i sztuk tea-

tralnych — poza tym podróżą na południe i bardzo ożywione życie towarzyskie.

Donośi siostrzeńcowi co tydzień, ile napisał, cieszył się, jeśli mu się udało napisać więcej, niż w poprzednim tygodniu, opisuje przyjęcia, w których uczestniczył w domach znanych i zamożnych ludzi, wspomina interesy pieniężne, nabycanie i sprzedaż akcji, samochodów, dzieł sztuki.

Zważywszy, że choć tym co pisał nie przejmował się nadmiernie, umiał w najwyższym stopniu zaspokoić wymagania publiczności XX-go wieku i wiele dzieł jego pozostanie w literaturze, bo miał wrodzony talent — taka mimowolna autobiografia będzie interesować jego czytelników i pewnie zarówno wydawcy, jak i adresatowi listów nie mało przyniesie.

Ten fakt, że Bennett pisał swe listy do siostrzeńca z pedantyczną punktualnością co tydzień, nadaje im kinematograficzny charakter normalnego przekroju szczerze wypełnionego pracą zarobkową życia angielskiego pisarza. Gubski na pewno nie chciałby prowadzić takiego życia, a jednak tylko taka pedantyczna jednostajność pracy może zapewnić powodzenie, na którego brak uskarżał się Gubski.

Bennett tak dalece wyżył wszelki materiał dla celów swego zawodu, że prócz powieści i sztuk teatralnych wydawał notatki robione z dnia na dzień w szeregu tomów pod tytułem: *Rzeczy, które mnie zajmowały, 1921, 1923, 1925* — lub *Journal 1929*. Notatki te dotyczą osób spotkanych, książek przeczytanych, a nawet obiadów zjedzonych. Corocznie sprzedawał przeszło sto tomów egzemplarzy recenzyjnych otrzymanych, o których pisał krótkie wzmianki. Z listów do siostrzeńca wynika, że ciągle był nagabywany o jakies sprawozdania. Raz po raz też chciał mu coś pokazać, aby o tym napisał swoim jasnym, rzeczowym, poczytnym stylem.

Wielki hotel Savoy dał mu gościnność, aby napisał powieść o życiu w wielkich hotelach. Powieść ta pod tytułem: *Imperial Palace* wyszła w 1930 r.

Przy ogromnych zarobkach Bennett dziwny nacisk kładzie na drobne oszczędności i chwali się, że zyskał 12 funtów, jadąc trzecią klasą do Kornwalii. Także siostrzeńca zachęca do oszczędności, a gani mu rzekome zbytki, gdy sam się przyznaje do znacznych wydatków.

Obcuje głównie z pisarzami i wydawcami, wśród których pierwsze miejsce zajmuje Lord Beaverbrooke, który go wozil swoim jachtem do różnych dalekich krajów — do Rosji, Szwecji, Grecji, i przyjmował w różnych swoich pałacach.

Listy Bennetta do siostrzeńca dają tylko krótkie wzmianki o tych wycieczkach i wielkich przyjęciach o samego autora. Jest to życie szczerze wypełnione pracą i obcowaniem ze znakomitymi ludźmi, o których zresztą mało się z nich dowiadujemy. Stanowi to kraciawą antytezę z życiem Gubskiego. U Bennetta świat zewnętrzny przeważa zupełnie nad treścią wewnętrzną — może dlatego, że Bennett daje nam obraz swego życia po ukończonym 50-m roku, a Gubski oписуje pierwsze 48 lat swego życia. To, co Bennett z licznych wrażeń doznawanych wyciąga jako swe osobiste doświadczenie, wyrażało się w powieściach i sztukach teatralnych, do których bez ustanku przybywało nowe aż do śmierci w 64-m roku życia. Charakter tego życia jest nam z całą otwartością odsłonięty w poufnych listach nie pisanych dla publikacji. Jest to życie niezmiernie intensywnej pracy, mającej za cel przedstawienie zgodnie z prawdą życia innych ludzi w sposób dosyć interesujący.

Dla czytelników ostatnich powieści Bennetta jego listy stanowią komentarz dosyć pożądanym, gdyż z nich dowiadujemy się, jak żyje autor należący do najpoczytniejszych w jednej z najbogatszych literatur świata. Nastrożę się myśl, że ci dwaj ludzie: Gubski i Bennett, gdyby się spotkali, mogli by sobie wzajemnie znacznie pomóc. Bennett przysty swemu stosunkowi ułatwily Gubskiemu korzystny zbył literackiej produkcji, a Gubski ze swego bogatego doświadczenia dostarczył Bennettowi wiele oryginalnego materiału do dalszych powieści. Istotnie, mimowolna autobiografia Bennetta stanowi najciekawsze uzupełnienie ultraświadomej autobiografii Gubskiego.

Ci dwaj pisarze, tak różni, jednocześnie żyli w Londynie i łatwo mogli się spotkać, ale nie jest pewne, czy wzajemnie by się mogli zrozumieć i zawrzeć jeden z tych osobistych stosunków, o których zawsze marzył Mikołaj Gubski.

## NOWY TOM J. RUFFERA

Józef Ruffer przygotował do druku tom poezji własnych p. t. *Lutnista*, a nadto tom obejmujący wybór przekładów *Bajek La Fontaine'a*. Nad przekładem bajek La Fontaine'a zaczął pracować w r. 1923.

Poszczególne bajki ogłaszał począwszy od 1924 r. (*Kurier Warszawski*, *Tygodnik Ilustrowany*, *Iskry*).

O przekładach tych napisał prof. Leon Pło-

szewski w *Przeglądzie Warszawskim* (styczeń, 1925, str. 115): „Z innych arcydzieł „na warszacie” tłumacza znajdując się też bajki La Fontaine'a. Próbką ogłoszone przez J. Ruffera (*Kurier Warszawski*, nr 195, 237) budzą nadzieję, że po przestarych przekładach i po genialnych parafrazach Mickiewicza otrzymamy na koniec dobre społeczenie”. Z *Lutnisty* wyciemy wiersz pt. *Hymn do Polski*.

## HYMNO DO POLSKI

Między tchnieniami Wschodu i Zachodu,

Ojczyzno moja,  
Zasiedałaś szczęśliwa u Wolności Zdroju:  
Macierz bujnego narodu.

Nad Twym pogodnym szczęściem kłębiły się burze,  
Tysięczne huczały gromy!  
A oto trwasz — trwa wiecznie Lud Twój: znak widomy  
W narodów chórce...

Polsko!  
Jakże wymówić godnie Twoje słodkie miano?..  
Na jakim instrumencie  
Wygrać hymn płomienisty, co by oddał ścienie  
Radość z Ciebie czerpaną!?..

Ląki, bory, rzek ustęgi, gaje, złociste lany,  
Tatry: do niebios wrota!  
Oto uśmiechów Twoich urok niewyczerpany,  
Oczom promienna pieśczołota...

Czyni z Ciebie zrodzone: męstwa owo zdroj żywy  
I Duszą pokrzepienie!  
Rośnięm, rośnięm i rośnięm aż pod niebios sklepienie,  
Patrząc na te dziejczy!

Błędów pełni i uszni, plmie nieukrócone,  
Byłim — jesteśmy — czyż będziemy!  
Ty zaś macierzyńskim umacniasz nas orędziem,  
Ku sobie przyciągniesz zwąszone.

Jesliże zcupełni który pomiędzy Tuymi syny  
Ojczyzno! — Ojczyzno!  
Słażnego na duszy ty sromotną bliźną  
Nie karz — wedle winy...

Mocnaś i nieśmiertelna, w niewoli a skrzydłata!  
Ranę tyranu!  
Oczyścisz i uszczęcion, nurt Twój niepowstrzymany  
Zatętni w Sercu Świata!

Polsko! Jakoż nam godnie głosić Twoje miano!?  
Jakoż na dusz instrumencie  
Wygrać hymn płomienisty, iżby oddał ścienie  
Radość z Ciebie czerpaną!?..

Paryż, rue St. Jacques, rok 1913.

WINCENCY LUTOSŁAWSKI

## PROWINCJA I KULTURA

Przełom 1918 roku zmienił nie tylko polityczną i gospodarczą mapę naszego państwa, ale spowodował także zasadnicze przesunięcia na terytorium polskiej kultury. Traktowany nie jako osiągnięcie dziejowe, ale ze stanowiska „fizjologii” współczesnej kultury, stanowił punkt wyjścia procesów, które w wyniku doprowadziły do zmian nie zawsze korzystnych. Niemal całą konsekwencją centralizacji politycznej była centralizacja kulturalna, która spowodowała zatarcie różnic regionalnych, ujednolicienie polskiego typu psychicznego. Gdyby ten proces rozwijał się nie zahamowany w ciągu dłuższego okresu, mógłby doprowadzić do zubożenia polskiej twórczości kulturalnej, do jej przedwczesnej sklerozy.

Reakcją przeciw przerosłości dążeń unifikacyjnych stanowił coraz bardziej popularny ruch regionalistyczny. Ale regionalizm, u którego podstawy tkwi raczej kwitnistyczna w zasadzie myśl zachowania dorobku kulturalnego poszczególnych prowincji w formie niezmiennej, niż żywa twórczość kulturalna — sam przez się, nie wspomagany innymi procesami, nie zdoła się oprzeć na porowitej fali unifikacyjnej. Wylania się konieczność stworzenia w całym kraju jak największej ilości ośrodków ruchu kulturalnego, które by — z jednej strony — poczynamy regionalnym nadady bardziej zorganizowaną formę, a z drugiej — stały się „stacjami przekazykowymi” strumienia energii kulturalnej, płynącego ze stolicy.

Na szczęście, prowincja nasza coraz u silniej zaczyna walczyć o swe prawa, o swe stanowisko we współczesnym życiu polskim. Niemal wyłączna dotychczas postawa, zawierająca w sobie emocjonalną — ujemną — ocenę życia kulturalnego prowincji, coraz bardziej ulega przezwyciężeniu. Ta negatywna postawa uczuciowa mogła doprowadzić do obiektywnych przekształceń w układzie sił kulturalnych społeczeństwa. Czas już był wielki, aby ewakuację kultury z miast prowincjonalnych zastąpił proces odwrotny: tworzenie licznych „warsztatów” pracy kulturalnej. Nie mniej ważną od twórczości samorodnej jest sprawa zorganizowania aparatu przenoszącego dorobek kulturalny wielkich centrów do odbiorcy, nie mającego bezpośredniej z nimi łączności. W tej dziedzinie inteligencja miast prowincjonalnych może odegrać rolę najdonioślejszą.

Dzieje powstania coraz liczniejszych placówek pracy umysłowej świadczą dowodnie, że udział inteligencji w życiu ogólnopolskim jest coraz bardziej świadomy, że jej pionierska rola w dziedzinie organizacji ruchu kulturalnego jest coraz lepiej rozumiana. Jest objawem pocieszającym, że w małych nawet miastach prowincjonalnych powstają ogniska skupiające ludzi, którzy doceniają rolę wartości intelektualnych i artystycznych we współczesnym życiu polskim i pragną je jak najszybciej udostępnić.

Doba obecna — czytamy we wstępie do sprawozdania z działalności Koła Miłośników Historii, Literatury i Sztuki w Białymstoku — doba organizowania i rozbudowy życia państwowego i społecznego — stawia przed inteligencją polską wielorakie i złożone zadania. Aby im sprostać, należy dążyć do wciągnięcia inteligentnego ogółu w orbitę współczesnych problemów i zagadnień, do rozbudzenia w społeczeństwie żywego aktywizmu intelektualnego. Inteligencja w ośrodkach prowincjonalnych, pozbawiona kontaktu z poważniejszymi instytu-



RATUSZ W TOMASZOWIE, GDZIE MIEŚCI SIĘ TOW. PRZYJ. NAUKI, LITERATURY I SZTUKI

cjami naukowymi, literackimi i artystycznymi — zasklepa się przeważnie w kręgu swoich zainteresowań zawodowych, zrywając stopniowo łączność z nurtem współczesnych zagadnień i idei. W warunkach naszego życia prowincjonalnego wszelka akcja, zmierzająca do ożywienia ruchu kulturalnego, a przez to do zaktywizowania działalności społeczeństwa na wszystkich polach — ma znaczenie poważne.

Z takich założeń powstało w końcu 1935 r. Towarzystwo Przyjaciół Nauki, Literatury i Sztuki w Tomaszowie Mazowieckim, mieście, stanowiącym — ze względu na swój przemysłowy charakter — grunt szczególnie oporny dla wszelkich poczynań kulturalnych. Związane z inicjatywą prezydenta miasta, Antoniego Rączaszka, liczy obecnie ok. 100 członków. Działalnością swoją objęło wszystkie warstwy społeczne miasta — od inteligencji po bezrobotnych.

Akcją Towarzystwa łączy się najściślej z osobą jego inicjatora. Na jakiegokolwiek placówce znalazł się obecny prezydent miasta Tomaszowa, wszędzie rozwijał budzielską działalność w kierunku ożywienia ruchu umysłowego i artystycznego oraz nadania mu form organizacyjnych. Tak było w Grodnie, tak było potem w Białymstoku, gdzie prezydent Rączaszek był przez kilka lat prezesem zainicjowanego przez siebie Koła Miłośników Historii, Literatury i Sztuki.

Towarzystwo Przyjaciół Nauki, Literatury i Sztuki w Tomaszowie mimo trudnych warunków pracy (brak własnego lokalu, brak fortepianu, co szczególnie paraliżuje akcję muzyczną) i skromnych podstaw finansowych rozwija żywą i owocną działalność kulturalną. Warto zrobić pobyty choćby przeglad imprez zorganizowanych przez Towarzystwo, gdyż to najlepiej zorientuje w charakterze jego pracy. Inaugurację działalności Towarzystwa stanowił odczyt Leona Pomirońskiego o Stefanie Żeromskim, tym nie tylko najświetniejszym polskim prozaiku, ale i niestrudzonemu bojownikowi o jak najwyższy poziom życia polskiego. W zakresie imprez poświęconych literaturze odbył się jeszcze odczyt Antoniego Rączaszka o Eugeniuszu Małaczewskim, ilu-

strowany recytacją niedrukowanych przekładów autora *Konia na igrzysku*, oraz Kazimierza Czachowskiego o Henryku Sienkiewiczu. Poza tym dwa wieczory autorskie: Kazimierza Wierzyńskiego i Michała Chorońskiego. Z okazji wystawy plastycznej miejscowych artystów M. Siemiradzki wygłosił odczyt pt. *Malarstwo polskie na tle malarstwa współczesnego*. Dochód z wystawy oraz ze sprzedaży obrazów, w sumie ok. 500 zł., został przekazany na F. O. N. W zakresie zagadnień aktualnych Eugeniusz Kwiatkowski, konsul polski w Charbinie, mówił o stosunkach na Dalekim Wschodzie i o nowo powstałym państwie Mandżukuo, a prof. Sergiusz Hessen o faszyzmie, komunizmie i gospodarce planowej oraz o ekonomicznych i prawnych założeniach gospodarki planowej.

W zakresie działalności muzycznej Towarzystwo zorganizowało kilka koncertów z udziałem Ireny Faryszewskiej, Wacława Koehauskiego, prof. Lewickiego, Wandy Łozińskiej, Anieli Szlemińskiej, Henryka Sztompki i in. Pragnąc w jak najszybszym miarze wykorzystać przyjaźni artystów, Towarzystwo wystąpiło z inicjatywą organizowania paranków dla młodzieży szkół średnich i powszechnych. Programy tych audycji szkolnych były opracowywane przez Ormuz.

W trosce o objęcie akcją kulturalno-artystyczną jak najszerzych kręgów społeczeństwa miejscowego oraz w celu ekoordynowania rozproszonych poczynań innych organizacji — Towarzystwo po kilku zaledwie miesiącach swego istnienia wystąpiło z inicjatywą stworzenia stałej komisji porozumiewawczej, która by wspólnymi siłami podjęła szerszą akcję w dziedzinie pracy nad krzewieniem kultury, oświaty i sztuki.

Tak powstała w kwietniu 1936 r. Międzypowiatrzna Komisja Artystyczna, w której współdziała 17 organizacji i zespołów miejscowych. Celem tej Komisji (która zorganizowała się jako sekcja Towarzystwa Przyjaciół Nauki, Literatury i Sztuki) jest organizowanie dla najszerzych sfer odczytów, przedstawień teatralnych i wieczorów artystycznych po cenach popularnych, oraz praca nad podniesieniem artystycznego poziomu zespołów wokalnemuzykalnych przez kursy fachowe, poradnictwo i inną pomoc. Komisja nawiązała kontakt z Instytutem Teatrów Ludowych w Warszawie w sprawie zorganizowania kursu teatralnego dla przewodników zespołów scenicznych poszczególnych organizacji oraz dla nauczycielstwa szkół powszechnych.

W najbliższych projektach prac Towarzystwa leży stworzenie czytelnik książek i czasopism naukowych i artystycznych, których w Tomaszowie odczuwa się wielki brak. Stanie się to podjętą i stworzy lepsze warunki dla ożywienia ruchu umysłowego wśród miejscowego społeczeństwa. Można stąd śledzenia przejawów życia umysłowego i artystycznego na szerokim świecie, a przede wszystkim w Polsce, dostęp do wartościowych dzieł wywoła niewątpliwie potrzebę dzielenia się wrażeniami nie tylko przygodnie, ale w formach zorganizowanych, jak odczyty, referaty czy też stałe wieczory dyskusyjne.

Tak się w pobieżnym zarysie przedstawia dotychczasowa działalność Towarzystwa. Na specjalne podkreślenie zasługuje, iż podstawą finansową jego akcji stanowią wpływy ze składek członkowskich oraz dochód ze sprzedaży biletów. Jedyną subwencją — wojewody Hauke-Nowaka w wysokości zł. 400 — została użytkowana na akcję popularyzatorską głównie wśród bezrobotnych.

Znaczenie Towarzystwa nie da się zamknąć w suchym zestawieniu zorganizowanych imprez i w liście tych tysięcy ludzi, którzy z nich korzystali. Najważniejszą legitymacją jego wartości jest to, co trudno ująć w kolumny cyfr albo wyrażną formułą słowną: to zaszereżenie tomaszowskiemu społeczeństwu potrzeb kulturalnych, rozprawienie ich w arteriach miasta niby prądu ożywczej krwi po transfuzji. To walka o nowy styl życia polskiej prowincji i o życia te kulturalny poziom. Niechaj Towarzystwo idzie dalej po tak dobre rozpoczętej linii działalności. To piękne zadanie dla twórczej myśli i zorganizowanej woli. Bo — jak słusznie stwierdza zarząd we wstępie do wydanego niedawno sprawozdania z dotychczasowej działalności Towarzystwa — „im więcej takich placówek, świetlic, czych skromniejszych, powstanie na ziemiach Rzeczypospolitej, tym bliższe stanie się realizacja procesu upowszechnienia kultury, wyrównania przepaści między niezliczonymi wyspami życia umysłowego i artystycznego w wielkich miastach — a zaniedbaną do niedawna prowincją”.

KAZIMIERZ GLINKOWSKI

## Z ZAGRANICY

Znany pisarz sowiecki, Borys Piłniak, został aresztowany. Przyczyną tego jest podobno fakt udzielenia przezeń pomocy żonie Radka i wdowie po Tuchaczewskim. Władze sowieckie zatrzymały również Mirskiego, autora pracy p. t. *Życie Lenina* i doskonałej *Historii Literatury Rosyjskiej*.

W Berlinie fetowano uroczyste sprzedaż trzymilionowego z kolegi egzemplarza *Mein Kampf*. Jest to podobno najbardziej rozpowszechniony ostatnio w Niemczech upominek dla nowożeńców.

W Monachium odbyła się niedawno Wystawa Sztuki Zdegenerowanej. W następstwie jej Goering wydał nakaz „oczyszczenia” kolekcji publicznych i prywatnych. Pierwszymi ofiarami „czystki” zostali: Chagall, Kokoschka, Picasso i Matisse.

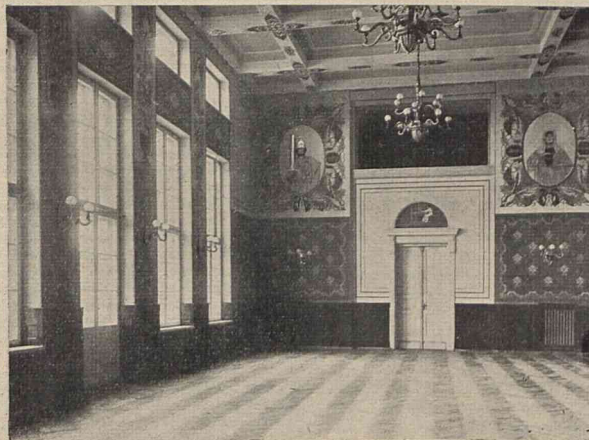
We Włoszech wyszło rozporządzenie, ograniczające rozmiary dzienników krajowych do objętości sześciu stron. Przyczyną tego rozporządzenia jest obawa Włoch, aby nie zbrakło im celulozy na cele „Obrony narodowej”.

W Mediolanie ukazała się interesująca książka znanego pisarza włoskiego Ugo Ojetti p. t. *Sessanta* (Sześćdziesiątka). Zbliżający się do 60-tego roku życia autor znanych esejów p. t. *Cose viste* (Rzeczy widziane), zawarł w niej szereg głębokich i

dowcipnych maksym, reasumujących zdobyte przezeń w ciągu życia wiedzę o człowieku i świecie. Ugo Ojetti był przez szereg lat redaktorem *Corriere della Sera*. Z tych czasów prawdopodobnie datują się jego obserwacje nad dziennikarstwem i jego misją, zawarte w całym szeregu maksym, z których warto przytoczyć jedną: „Dziennikarz jest jednym pisarzem, który — ujmując za pro — nie myśli o nieśmiertelności. To wystarczy, aby dał się lubić”.

Nakładem N. R. F. ukazać się ma wkrótce nowa powieść „samotnika z Montagne”, Jeana Giono, p. t. *Batailles dans la montagne*. Będzie to siedemnasta z kolei książka tego stosunkowo jeszcze młodego pisarza.

W tym samym wydawnictwie ukazała się interesująca praca Alaina p. t. *Avec Balzac*. Autor jest entuzjastą Balzaca i twierdzi — podobnie jak w swojej innej pracy p. t. *Histoire de mes pensées* — że z lektury tego pisarza wyciąga więcej „nauki”, niż „czytając filozofów i polityków”. Rzecz szczególna, że w upodobaniach Alaina Balzaca stoi tuż obok Stendhala, mimo że metody pisarskie ich obu były sobie „wrogi”. Alain usiłuje z powodzeniem stale analizować jedno z tych pisarzy przy pomocy drugiego, rzucając w ten sposób ciekawe światło na jeden z problemów powieści współczesnej.



SALA RADY MIEJSKIEJ W TOMASZOWIE, GDZIE ODBYWAJĄ SIĘ WIECZORY TOWARZYSTWA

## K S I A Ź K I

STANISŁAW COLONNA-WALEWSKI:  
*Rdzawie blaski*. Warszawa 1937. Tow. Wyd.  
„Rój”. Str. 300.

Opowieść ze wspomnień wojennych lat 1915—1921. Zapewne autentyczna, chociaż podana w formie częściowo zbeletryzowanej, częściowo być może dosłownie wziętej z czerpienia z pamięci, z którego pochodzą też nadmierne dłużyzny w rozważaniach Krzysztofa Naleczu o sprawach publicznych. Atmosfera jednak wojny na froncie austriackim przeciw Rosji została odtworzona z niewspodzianym talentem literackim. Święte są zwłaszcza opisy walk, z których np. cały ustęp w huraganowym ogniu na pozycji wypadnie zaliczyć do najbardziej wstrząsających i najpiękniejszych na ten temat utworów artystycznych. W ogóle autor pisze prozą ładnie wyrobioną i giętką. Bardzo zajmująco przedstawia duchowe i moralne przeżycia młodego oficera Polaka, w którym żywo jeszcze działają dawne polskie tradycje wojenne, co znalazło wyraz także w wiatku konia wierzchowego Orlika, wiatku dobrze odświeżonym, ale może nieco przedidealizowanym. Jest to zresztą zamiennym rysem bohatera opowieści a zarazem i stylu autora, że bystrość wręcz naturalistycznej obserwacji życia łączy z górnym polem, i realizm. Występuje to również w epizodzie romansowym z dwiema siostrami Galskimi. W tym śmiałym trio miłosnym mamy do czynienia z nagim erotyzmem, którego zmysłowość w przedstawianiu autora uległa poetyckiemu udowodnieniu, nie na tyle jednak, aby razić sentymentalizmem. Idylliczny charakter tego romansu posiada urok swego piękna. Także inne przygody wojenne lub miłose Krzysztofa Naleczu odznaczają się inteligencją i naturalnym wdzikiem. Debiutujący tą książką autor rozporządza wrodzonym talentem literackim, któremu brak jeszcze dostatecznej świadomości artystycznej. Należy jasno zdać sobie sprawę, że kompozycja powieściowa nie powinna być daleko rozpychaniem warkiem, lecz ma stanowić odpowiednio zorganizowaną i skupioną całość epicką. Kompozycja *Rdzawie blasków* jest zupełnie luźna, rozsadzana nadto przez zbędne wstawki o charakterze publicystycznym, zwłaszcza pod koniec książki. Rozważania Naleczu są najoczywistej racjonalne, ale przedstawione jednostronnie, więc tym samym nie pogłębione. Również moment przedłużenia się wiary w Naleczu wypadł nadzbyt prosto, aby stać się istotną przekonywującą. Cały zresztą bagaż ideologiczny powieści, mimo pozory poważniejszego siostrzeństwa do życia i społeczeństwa, ma wygląd raczej powierzchowny. Książka to jednak zaliczająca się szeregiem świetnych epizodów powieściowych, żywym tokiem opowiadania i ładną polszczyzną. W stylu swoim niekiedy romantyczna, ale owa romantyczność dodaje jej dużo niewymuszonego wdziku i miło odpręża trążim przeżyć wojennych.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Prace Polskiego Towarzystwa dla Badań Eropcy Wschodniej i Bliskiego Wschodu pod red. dra Wacława Lednickiego, Nr XIV. — WACŁAW LEDNICKI: *Puszkin 1837—1937*. Kraków, 1937. Str. 63.

W estetycznym wydanej książeczce, która dotrże o czujności wyżej wymienionego Towarzystwa świadczy, odsłaniając nadto aspekt szczególny w stosunku Puszkinu do Polski — jeden z najznakomitszych puszkiniistów dzisiejszych przywołał ku jubileuszowej pamięci zarówno postać autora *Jedźca Miedzianego*, jak i trążim jego zgonu. W syntetycznym uchwycie podaje Wacław Lednicki te rysy, które twarz poety określily, a są to, używając powiedzenia Gopola: człowiek rosyjski w ostatecznym jego rozwoju, wszechstronność, zarówno w ogarnianiu wszelkich przejawów rosyjskiego ducha jak i w umiejności unarodowiania obcych wzorów; zaleta prostoty i prawdziwości, z jaką do wznuszenia ostateczny kształt artystyczny dochodzi.

Sięgając w głąb tych sformułowań, Lednicki usiłuje wybadć źródło, z którego treści puszkiniowska się poczyna. Tu stwierdza trafnie, a pomaga mu zestawienie z Byronem i Mickiewiczem, od czego twórca *Poltawy* wyróżniejszego wyodrębnienia nabiera, że Puszkin posiadał niezmiernie żywotną, chłonna „duszę” i nie więcej. „Jedyną wielką i ważną rzeczą, o której widział, że jest jego nieodjętą własnością i nierozłączną właściwością — był jego dar poetycki. Nie powszechnie znaczącego nie mógł z siebie wprowadzić do swej poezji. Poezja Puszkinu jest poezją czystą i samą, poezją otrzymującą swoją treść nie z zewnątrz, lecz ze siebie samej”.

Powszechny w świecie kulturalnym obchód jubileuszu Puszkinu daje Lednickiemu ponownego bodźca do rozważań n. t. „Puszkin a my”. Czyż to bez niedogodnych wielkich pasy zażenowania, nie przecinającą prawdy — raczej z nieuleknioną świadomością i składającą „dowód myślenia w wielkim polskim stylu”, którego arcypięknym nekrolog puszkiniowski, pisany przez Mickiewicza w *Le Globe*, naucza. Tedy Lednicki stwierdza: autor „przeciwpolskiej trylogii” był bezwzględny wrogiem Polaków, ale wrogiem, co najważniejsze, świadomym, programowym. Stał na stanowisku aż do dna przejrzanym rywalizacji historycznej obu narodów; z tej rozległej perspektywy patrzając, „zgrzybiały rodzeń prawnuk” daleki był od jakiegokolwiek dorożności i serwilizmu. „Akt ten — stwierdza Lednicki — wypływał konsekwentnie z nacjonalizmu Puszkinu, z tego, jak poeta rozumiał rozwój i historię swej ojczyzny”.

Rozmiary okolicznościowej publikacji nie zezwoliły na pełne wykorzystanie wszystkich wątków, dotyczących Puszkinu; uczyni to pod tym samym tytułem (*Puszkin*) zapowiadany „zbiór prac obcych i polskich autorów”, przygotowywany pod redakcją prezesa wspomnianego towarzystwa.

Omówiona książka spełnia jedynie rolę miłości, przywołującej „cień postaci”. Aury uczuciowej przydaje reprodukcje „portretów i obrazów, przedstawiających owocności „osoby dramatu”. W zakończeniu odnajdujemy pożyteczny wykaz, podający główne puszkiniada autorów polskich — opracowania i przekłady.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

LUCJAN ANDRÉ: *Czad. Powieść*. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień”. Warszawa 1937. Stron 324.

Czasy pierwszych lat naszej młodej państwowości to czasy zmienności nastrojów politycznych oraz zamętu gospodarczego. Poкусиł się o powieściowe odwzorowanie tamtych czasów, to zamiar bardzo ambitny. Trzeba bowiem, oprócz zwykłego wiatku powieściowego, objąć szerokie tło przemian politycznych i gospodarczych. Spożerzenie perspektywiczne na czasy inflacji niełatwe jest w ramach utworu literackiego.

Dlatego też książkę Andrego bierze się do ręki ze zrozumiałą rezerwą. Jak sobie autor dał radę w przetruczeniu wiatku powieściowego na szerokie tło tych czasów?

Oto zakończyła się wojna roku 1920. Prace, związane z budowaniem podstaw ogólnej gospodarki, odhływały się w atmosferę zamętu, wśród której zrodził się specyficzny typ „działacza”, czającego na uchybienia ogólnej gospodarki, by przy nadarzającej się okazji nabici sobie własne kieszenie.

Takich to ludzi prezentuje nam Lucjan André w swej powieści, zatytułowanej nader trafnie: *Czad*. Ukazuje w niej autora, jako postać centralną, takiego właśnie giełdźiarza-spekulanta.

Zasadniczym jednak bohaterem książki jest nie któraś z osób, ale — inflacja. Zjawisko personifikuje się i urasta do apokaliptycznych niemal wymiarów. Wyraz tego mamy nie tylko w prowadzeniu narastającego toku powieści, ale i w języku prawie że felietonowym. Brak w nim jakichś czulszych akcentów. Wszystko jest przez autora dotręgane zbyt na zimno: przez opór złowrogiego tlenku pieniądza. Dławią się tym oparem bohaterzy Andrego aż do koszmarnu.

\*

ZOFIA CIESZKOWSKA (SARIUSZ): *Krzyk życia*. Szkic psychologiczny. Wydanie III, poprawione i rozszerzone, z fotografią autorki. Warszawa. Dom Książki Polskiej. Str. 166.

Ten szkic psychologiczny jest ciekawie promyślany i nieźle przeprowadzona konstrukcyjna powieść w formie pamiętnika. Raptularz to zwykły, może za bardzo oszczędny w słowa i podający w impresyjnych skrótach pewne ogólne odzwierciedlenie przeżyć kobiety, która odrzucając ponęty życia, sama wreszcie w sidła tych ponęt wpada.

Człową postacią jest nauczycielka, kończąca studia w Genewie. Po powrocie do kraju jest „perłą rodziny”. Mimo głębkich przeżyć i niebanalnych aspiracji, mimo znacznej dozy kultury i ocytania — jako człowiek długo zostaje poza nawiasem pełni życia. Wreszcie spotyka na swej drodze mężczyznę. Długo tłumione instynkty biorą odwet za zahamowanie. Karol, człowiek przeciętny, „lewis salonowy” — obejmie swoim i... podjęciem zawrócić głowę starzejącą się nauczycielkę.

Perypetye tego romansu są dość śmiało i żywo odtworzone. Agresywność Karola

staje się dynamitem w sercu Anny, starającej się przemóc, zwalczyć miłosną skłonność. Po dość różnorodnych przebiegach tego uczucia, oddaleniach się i zbliżeniach Anna zostaje jego kochanką.

Cieszowska z prawdziwą śmiałością ukazuje momenty windowania mężczyzny na piedestał ubóstwienia, aby zeń potem uczynić kompletną nicotą ludzką. Książka szczerą, dobrze napisaną. Chodzi w jej treści o problemat równouprawnienia moralno-obyczajowego i towarzyskiego męskiej i żeńskiej polowy rodzaju ludzkiego. Silny głos w obronie kobiety, którą cywilizacja i obyczajowość zepchnęła o szczebel niżej, a która ze swej strony jest oym ognikiem, ku jakiemu ślą mężczyźni tęskne spojzenia.

Styl książki lekki i potoczny. Czyta się ją łatwo. Wysłowienie nie jest barwne. Próżno szukalibyśmy uplastycznienia nastroju, sytuacji, rozmowy, opinii. Lecz kto wie, czy ta uderzająca bezpretensjonalność szaty słownej nie jest równocześnie szatą ściśle, wyjątkowo ściśle przylegającą do treści, naprawdę psychologicznej, sięgającej w intymne nerwy uczuciowej głębi?

Krzyk życia swoją prostotą i powagą tematu, prawdą ostatecznych wniosków, bezpretensjonalnością wysłowienia — trafia do czytelnika.

Zwłaszcza że kobiecość, sentymentalność, wadliwość uczuciowa niewiasty, której zrazu obca zmysłowa miłość — narkełone zostały istotnie przekonywujące, nawet z patosem.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

## PISM PIŁSUDSKIEGO I. V

Tom ten', odpowiadający V tomowi *Pism — Mów — Rozkazów*, powiększony o kilkadziesiąt „pism” pominiętych tam z różnych względów i przyczyn, zawiera drukowane wypowiedzi Pierwszego Marszałka Polski w okresie sprawowania przez niego władzy Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, a ściślej biorąc od 10 listopada 1918 r. do 14 grudnia 1922 r. Epoka ta, epoka tworzenia państwa polskiego na powojennych gruzach dawnych rozbiornych dzielnic kraju wiąże się nierozdzielnie z życiem i działalnością Piłsudskiego. Zaobserwowany pracą wojskowo-organizacyjną i administracyjno-państwową, Naczelnik Państwa nie miał czasu na prace literackie, oddałby je do chwili spokojniejszej. Prac więc tego rodzaju w tomie omawianym nie znajdziemy. Natomiast Piłsudski z racji swych stanowisk Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa, jak również jako jedyny istotny moralny przewodnik Polski, musiał w tym okresie wypowiedzieć szereg mów programowych i konwencjonalnych, udzielić wielu wywiadów pismom krajowym i zagranicznym, wydać ze swym podpisem niezliczoną ilość rozkazów i zarządzeń czy to natury wojskowej, czy też państwo-wojskowej. Oczywiście nie wszystkie akta z podpisem Piłsudskiego były jego tworem, część ich przeważająca stanowią typowe wytwory administracji, pewna tylko część nosi na sobie piętno jego inicjatywy lub autorstwa, będąc czy to opracowaniem jego myśli, czy też jego projektem. Należało więc dokonać wyboru tych akt, znaleźć tego wyboru kryterium. Wydawcy *Pism*, a w pierwszym rzędzie dr Kazimierz Świątki, którzy tom ten opracowali i przygotowali do druku, mieli przed sobą ciężkie zadanie: rozstrzygnąć, jakie wypowiedzi i rozkazy umieścić, jakie akta z podpisem Piłsudskiego poszło po linii najpraktyczniejszej i — mam wrażenie — możliwie najtrafniejszej. Przede wszystkim zgodnie z zasadniczym postulatem całego wydawnictwa umieszczono tylko te rzeczy, które już przedtem były ogłoszone w druku. Poza tym wyłączone rozkazy wojskowe, gdyż ta dziedziną nie dalały się po prostu technicznie, nie mówiąc już o innych względach, wtłoczyć w ramy wydawnictwa. Zbiór rozkazów i zarządzeń wojskowych i Marszałka wienien być wydany niezależnie od niniejszego wydawnictwa. Mowa tu oczywiście o zarządzeniach natury operacyjnej i organizacyjnej; rozkazy do wojska, zawierające treść ogólniejszą, zostały uwzględnione. Wyłączone ponadto wszystkie akta państwowe, które nie posiadały wyraźnego piętna inicjatywy Piłsudskiego, pozostawiono tylko takie, które w ten czy inny sposób wyraźnie były inspirowane przez

L. PASYNKOW: *Amina — dziewczę gór*. Str. 284. Przekład z rosyjskiego K. Maliszewskiego. Wydawnictwo „Europa”. Warszawa.

Powieść ta stawia sprawę gwałtownej zmiany stosunków społecznych w Rosji na płaszczyźnie konieczności dziejowej, jako wypadkową wielu skomplikowanych sił. Autor jednakże rewolucji nie ukazuje.

Pasynkow obrał drogę trudniejszą: na krótkim odcinku życia Aminy daje historię nawiązywania się pragnień rewolucyjnych w poszczególnych jednostkach. Pragnienia zmian są przeciwwagą stanu istniejącego. Mieszkańcy wsi — wychowywani w strachu przed duchami i bogatymi, leczem błotem, wżami i kałem bydłecym — w świecie, gdzie słońce nie przedostaje się przez szpary okien i nie może wypalić zrazy.

Amina, dziewczę gór, urodziła się między nimi. Ale nie ona jest bohaterką powieści Pasynkowa. Nikt i wszyscy — cały świat iniski, ukazujący w chwili prostowania zmęczonych pleców twarz skrawioną i bluszczącą od potu. Nie ludzie więc, a zagadnienie — teza, dla której postaci poszczególne są tylko pretekstem. Ale istnieje jeszcze coś, co specjalnie zadziwia u Pasynkowa — to zupełnie wyeliminowanie własnej osoby z biegu opisywanych zdarzeń.

Wartość książki dla czytelnika polskiego znaczna: ma możliwość zabawić się w podróżnika i odkryć ziemię i ludzi nieznaną, nacechowaną surowym egzotykiem.

GUSTAW MOTYKA

Marszałka. W tomie tym ponadto znalazły się wszystkie drukowane mowy Piłsudskiego z tego okresu i jego wywady. Nie wszystkie mowy Piłsudskiego — tyczy się to zwłaszcza wywiadów — odpowiadają bez zważania istotnym wypowiedziom Marszałka, nie raz zdarzyć się mogły pewne odchylenia, spowodowane czy to przez przeoczenie stenografów, czy przez nieprecyzyjność dziennikarzy itp. Niesposób było skontrolować ich w tym wydawnictwie, poza tym nie leżało to w zamiarach wydawców, nie mających na celu tzw. krytycznego wydawnictwa *Pism*, gdyż na to jeszcze za wcześnie.

Dwie idee przewodnie narzucają się czytelnikowi V tomu *Pism Zbiorowych*. Jedną — to idea wojskowa Piłsudskiego, chęć i moc stworzenia polskiego wojska, tworzenia jego ducha i nadania mu potęgi, drugą — dążność do przerobienia Polaka, do wypięcia niwoli i narowów nabytych w okresie niewoli i urobienia typu wolnego obywatela Polaka. „Ludność — jest tak urzędowa, że pod budowlę Wolności kładzie życie ludzkie i bierze krew ludzką, która jest najlepszym tej budowli spoidłem” — to zdanie Piłsudskiego odkrywa głęboką prawdę, może nawet przykrą, lecz takie jednak było i dotychczas jest nieubłagane prawo dziejowe. Głęboko tkwilo ono w duszy Marszałka, a stał wypłynęła ta jego wszechobjęująca troska o wojsko, tak chlubnie zrealizowana w postaci potężnej armii polskiej, która bohatercko i ofiarnie odparła groźne ataki nieprzyjaciół, stała i obecnie stoi niewzruszenie na straży niepodległego bytu Rzeczypospolitej.

A druga troska Marszałka było wytworzenie właściwego ducha narodu, przerobienie psychiki Polaka, stworzenie typu obywatela polskiego, który mimo przeszło stuletniej niewoli żyje w Niepodległej Polsce życiem XX stulecia.

„Chcieliśmy po prostu przerzucić Polskę z osiemnastego do dwudziestego wieku. Należało przeskoczyć całe stulecie i to było przyczyną wielu trudności i kłopotów wszelkiego rodzaju...” Ciężkie to było zadanie, zwałoby się mogło że ponad siły, zadanie jednak przed którym mimo wielkich przeciwności nie ugiął się geniusz Marszałka: obudził się duch polskiego obywatela Niepodległego Państwa XX stulecia.

Tom V *Pism* zamyka przemówienie Piłsudskiego do Gabriela Narutowicza.

Omawiany tom z powodu mnogości i różnorodności zagadnień trudny był do opracowania. Należało wyjaśnić niemal każdy epizod, podać nastroje i stan Polaka, by na tym tle uwypuklić wypowiedzi Marszałka. Dr Kazimierz Świątki nie szczędził trudu, by należycie opracować niezbędne wyjaśnienia. Dzięki jego pracy wypłynęły Piłsudskiego, zawarte w V tomie *Pism Zbiorowych*, mogą być właściwie zrozumiane przez najszersze rzesze czytelników.

EDMUND OPPMAN

1 JÓZEF PIŁSUDSKI: *Pisma Zbiorowe*, t. V. Warszawa 1937. Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniu najnowszej historii Polski.

## DYSKUSJA PO OMACKU

Scieranie się prądów ideowych jest konieczne w każdym żywotnym środowisku artystycznym. Poważnie, bezinteresownie namyśli nad sztuką, dyskusje rzeczowe, dokładne, operujące autentycznym, niezafalshowanym materiałem — mogą a nawet powinny wiele niezlatwionych kwestii wyjaśnić, rzecz dyskutowaną zanalizować i odpowiednio prześwietlić, zbliżając nas do owej upragnionej prawdy skonfrontowanej z wolą twórczą bieżącej epoki. W ten sposób zasadnicza myśl dyskursywna ukaże się tu na pierwszym planie — na uboczu zaś pozostaną wszelkie antagonizmy osobiste, wszelkie dygresje i ambiguijki „obozowe”; rzecz staje się przedyskutowana, oczyszczona z nieistotnych naleciałości, ujawniających zbytnią subiektywność sądu, lub też subtelna gierka na własny rachunek.

Leżąc w sferze sztuki nie możemy się jakoś zdobyć na wyższe normy polemicznej taktyki. Siłę i ugruntowanie pozytywnego stanowiska zastępuje się dość często siłą i demagogią napasli, bez tego mądrego i głębokiego poczucia, że jedno i drugie zwalczające się stanowisko jest jednakowo konieczne i że obydwie są w równej mierze funkcją rozwoju. Kogoś na czymś przyłapać, komuś dowiedzieć, że się w czymś pomylił, czegoś nie dopatrzył, o czymś zapomniał — daje dyskutantom pełne zadowolenie, jako namiastka merytorycznego rozstrzygnięcia sprawy. Ogromne kompleksy nieporozumień, wlokące się poprzez pokolenia i powstrzymujące rozwój świadomości plastycznej wśród ogółu, wśród artystów zaś setki wykojeń i zmarowanych egzystencji, nieufność czynników miarodajnych do zawodowych zrzeszeń i ugrupowań artystycznych etc. — oto rezultaty tej nieszczerzej i sobkowskiej polityki na odcinku sztuki, gdzie niestety oportunistyczne dążenie do podziału wpływów między przeciwnymi obozami zastępuje coraz częściej odważną, bezkompromisową obronę swego stanowiska ideowego i konsekwentne zwalczanie fałszów i zakłamań.

Ale człowiek zawsze skłonny jest do optymizmu. Kiedy dawaliśmy do druku mój artykuł *Chardin bez obcych wpływów* (w 18-tym nrze *Pionu*) demaskujący iście jezuicka kazuistykę prof. Pruszkowskiego w recenzji z wystawy malarstwa francuskiego w Muzeum Narodowym — byłem niemal pewny, że praca ta nawet w naszych warunkach nie minie bez echa. Za wiele w niej było materiału palnego, za wiele śmiałych, obcesowych uderzeń w samo centrum zaściankowego logikustwa „Błoku”. Mocno spóźnione echo było — ale jakie echo? W swym artykule polemicznym *Megalomaniackie urojenia*, w nrze 17-ym *Myśli Polskiej*, jeden z bardziej interesujących krytyków wśród młodszej generacji, kol. Ciechowski — zawiódł niestety na całej linii. Spodziewałem się po nim czegoś lepszego, bardziej wybrednego i oryginalnego. Autor nie zadal sobie nawet trudu, by uratować bodaj pozory rzeczowej dyskusji, by przede wszystkim zbadać chociażby w ogólnym zarysie teren walki toczącej się bez przerwy na tym froncie przez 8 lat bez mała. Żąda on ode mnie sprzecyzowania stanowiska ideowego przeciwnego obozu — tak, jakby tego nie było w omawianej w moim artykule recenzji prof. Pruszkowskiego, jak gdyby nie istniały uciążliwe publikacje „Błoku”, jego przyjaciół i popieczników, drukowane w czennikach i czasopismach warszawskich. Nie jest mu również obcy brzydki zwyczaj wyciągania zbyt pochopnych wniosków z cząstkowej, logicznie z całością nie związanej treści czyjegoś zdania i nicowanie cudzej myśli na własny benefit. A już prawdziwą kompromitację mego przeciwnika stanowi ta nie pozbawiona humoru okoliczność, że artykułu mego, o którego tezy namietnie się spiera — do końca przeczytał nie raczył. Gdyby go bowiem uważnie przegładnął, znalazłby niewątpliwie w jego treści gotową odpowiedź na wszystkie stawiane mi później zarzuty, na wszystkie pytania z zakresu mego kuchni ideologicznej, którą wspomniany autor zbyt pochopnie potępić usiłuje, rozpowszechniając lekkomyślnie fałszywy zgola pogląd, że nie uznaje żadnych w sztuce naszej podniet poza wpływami sztuki francuskiej, i że pod tym tylko kątem oceniam dzieła polskich artystów i t. p. Nie wymagam od kol. Ciechowskiego, aby zapoznał się gruntownie z całokształtem mego 20-letniej działalności artystycznej, aby przestudiował moje książki i

coś około tysiąca artykułów i essayów, rozsięgniętych po różnych dziennikach i czasopismach krajowych i zagranicznych. Mam natomiast moralne prawo wymagać od niego bardziej sumiennego zapoznania się z treścią mej pracy, obranej przezeń jako przedmiot do dyskusji, gdzie cztery ostatnie ustępy, obejmujące okrągo 40 wierszy druku, stanowią niejako syntezę mych poglądów w tej dziedzinie, syntezę stworzoną na podstawie długoletnich namysłów nad sztuką a zgodną w swej zasadniczej treści z pojęciami elity artystycznej w Polsce.

W działalności naszych publicystów artystycznych trudno wyłapać długi i głęboki oddech. Wąskość założeń dyskursywnych i powierzchowność sądu — są tu najlepsi przewodnikami wczesnych pojęć i zaufania w sztuce, gdzie stabilizacja i racjonalizacja poglądów w tej sferze może się dokonać jedynie w parze z wysokim poziomem myśli krytycznej i z rzetelnym kultem istotnych wartości, zdobytych przez następujące pokolenie i zasymilowanych następnie przez nowe, jako podstawa tradycji plastycznej w danym środowisku.

Ale dyskutując z sobą po omacku, nigdy tradycji tej nie stworzymy.

KONRAD WINKLER

## LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr. 16 *Kuźnicy* p. W. Szewczyk zarzucił Tow. „Rój”, iż osiągnęło nadmierny zysk z książki *Pamiętnik z okresu dojrzewania* — z moją skądą, jako autora. W związku z tym pragnę zaznaczyć, że rachunki moje z „Rojem” zostały przeprowadzone jak najściślej i w sposób zupełnie dla mnie zadowalający.

Łącząc wyrazy wysokiego poważania  
Witold Gombrowicz

28. IX. 1937.

## KSIĄŻKI NADEŚLANE

ADAM CIOMPA: *Notatnik literacki*. Kraków 1937. Wydano nakładem Komitetu Uczczenia śp. A. Ciompy w Krakowie, z subwencją Ministerstwa W. R. i O. P.

ALEKSANDER GROZA: *Zagadnienie elektryfikacji na Śląsku*. Katowice 1937. Wyd. Instytutu Śląskiego. Skład główny: Nasza Księgarnia — Warszawa.

*Silesian Affairs* edited by ROMAN LUTMAN. Katowice 1937. Publications of the Silesian Institute.

FRANCISZEK MACHALSKI: *Orientalizm Antoniego Langego*. Tarnopol 1937. Nakładem Podolskiego Tow. Przyj. Nauk. Prace Podolskiego Tow. Przyj. Nauk w Tarnopolu, nr 2.

ALEKSANDER NOLL: *Dniówka* — poezje. Warszawa 1937. Skład główny: Księgarnia Robotnicza — Warszawa.

## ODPOWIEDZI

Godło „Podpłomyk”. — Obie nowele zostały zakwalifikowane do drugiego czytania.

P. Wanda S. — Prosimy o podanie godła, jakim została oznaczona nowela.

Godło „Krysta” — 35”. — Nowela *Listu trzęsiego nie było* — do zwrotu.

Godło „Roztoka”. — Nowela *Dług* — do zwrotu.

Godło „Pi”. — Nowela *Zboczenie* — do zwrotu.

Godło „Wacyniak”. — Obie nowele do zwrotu.

Godło „Step”. — Nowela *Niesłabne dziecko* — do zwrotu.

Godło „W 707”. — Nowela *Marta, motyl i uciosa* — do zwrotu.

Godło „Hugh”. — Nowela *Pociąg z pociąg* — do zwrotu.

Godło „Kiks 14”. — Do zwrotu.

Godło „Malaga 9”. — Nowela *Siostra Czerwoonego Krzyża* — do zwrotu.

Godło „Anima”. — Oba rękopisy, zgodnie z życzeniem, zostały zniszczone.

X. X., Kraków. — Artykuł nie będzie drukowany.

W sprawach konkursu udzielamy odpowiedzi **tylko** na łamach **PIONU** i **tylko** na zapytania listowne.

## RYMY CZĘSTOCHOWSKIE

## MITOLOGIA WARSZAWSKA

W kosmogonicznych jarach tragedia trwa cicha:  
*Skamander* po raz wtóry powoli wysycha...

## KARIERA LECHONIA

Chęć być *alter ego*  
Pawła Valéry'ego!

## PROF. CHWISTEK

Będąc wrogiem posągów, rzekł raz Leon Chwistek,  
Ze Goethe (tak jak Szekspir i Dante) był chłystek;  
Sobie w *Palacach Boga* sam wzniosł z tej przyczyny  
Postument nie z marmuru, lecz ze stearyny.

## EPITAPHIUM DLA RED. GRYZDZEWSKIEGO — PROJEKT I

Dotąd by po redakcji hasał jak lajkonik,  
Gdyby w swym tygodniku nie czytywał *Kronik*.

## PROJEKT II, ESCHATOLOGICZNY

Miał jedno swoje fatum nazw Wielki Anonim:  
Stonimski umarł przed nim, a Piasecki — po nim.

## DZIKI WYBRYK

Pewnemu brukowcowi zdarzyła się gaffa:  
Chciał posłać tam gdzie Jaffa — Leopolda Staffa.

## NA „EXPRESS PORANNY”

Dla rodzimej kultury, gardząc niecnym zyskiem,  
Drukuję Lwa Tolstoja pod cudzym nazwiskiem.  
Dobrac pseudonimny — oto trudność główna:  
Mam zwie się tu Migowa, Kipling — Beylinówna.

## PRENUMERATOR „EPOKI”

Przeczytawszy raz numer, nie mógł zmużyć oka,  
Rzekł więc jak historiozof: „Strasza tu *Epoka*”.

## KONSERWATYŚCI NIEZADOWOLENI Z „CZASU”

Radzą konserwatyści, pełni ambaruś:  
„Jak robić politykę, gdy się nie ma *Czasu*?”

## „CZARNO NA BIAŁEM”

Jeżeli nie ustają wysiłki wytrwałe  
Władz — w piśmie tym zostanie wkrótce tylko *białe*.

## NA „WIADOMOŚCI LITERACKIE”

Żeby mogła z nich kiedyś być dobra lektura —  
Niech zostanie dział jeden: *Camera obscura*.

## MISTRZ PADEREWSKI

Wszyscy go namawiają, wszyscy tego chcą:  
Niech Mistrz znów politykiem wpływom się stanie!  
Polityka, co prawda, bywa także grą —  
Lecz niech lepiej Mistrz nadal gra na *fortepianie*...

## KSIĄŻĘ I MINISTER

W losy dwóch Poniatowskich wmyśliłem się szczerze —  
Konkluzję z ust mi wyjął pewien Plutarch młody,  
Więc powtarzam ją: „*Książę* utonął w Elsterze,  
*Ministra* chcą utopić w łyżce brudnej wody”.

## „POLITYKA”

Klika klić klić z kliki...  
Oto jądro *Polityki*.

## NA „ABC”

O złotych lat tradycje modły wznosi stałe,  
Na żydowskie chałaty co dzień robi zamach.  
Czasem łąty znajduje — nie żółte, lecz białe,  
I nie na plecach Żydów, lecz na własnych łamach.

## CAT I „SŁOWO”

Cat polskiej współczesności nie widzi różowo,  
Więc *Sturm* und *Drang* prowadzi, pełen jest uporu.  
Czy nie sfałtuje zbytnio, wciąż wy-daje *Stowca*?  
Wszak mógłby dać raz jeden, lecz — *słowo* honoru.

## HEMARA I SZEKSPIR

Każdy teatr, jak może, o sukces się stara:  
Chęć wkrótce grać Szekspira w przeróbce Hemara;  
Gdyby ktoś umiał wkręcać sztuczka mi fakira —  
Dawaliby Hemara w przeróbce Szekspira.

## REPERTUAR TEATRU ATENEUM

Jaracz, widząc, że teatr — to płochą żonglerka,  
Nie zaś niesienie sztuki robotniczym masom —  
Z gniewu dostał aż zęza: dziś sam okiem zerka  
Lewym — w stronę widowni, a prawym — ku kasom.

## MALICKA I SAWAN

Zona — zdolna, uroczą — występuje wciąż,  
Wdziękiem serca znowela i z wirtuozerią  
Stawia wszystkie swe role. — A o co robi mąż?  
Kładzie sztukę po sztuce kieszka reżyserią.

## SKARGA GOJAWICZYŃSKIEJ

Nowe sztuki — w szufladach, więc teatry drzemią;  
Współczesne można tylko wystawiać... pod ziemią.

## O NOJIM

Na olimpijskich bieżniach, pośród ludzi setek  
Wstawia Polskę nogami, bez udziału głowy.  
Czy warto mu w nagrodę dać wieniec laurowy?  
Wystarza chyba... para zielonych skarpetek.

## NA PRZYJAZD KIEPURY

Gdy znów przyjechał śpiewać na rzecz LOPPU, FONU —  
Niech mu kto wskaże hotel, gdzie nie ma... balkon.

COH-I-NOOR

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.  
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w teście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Tow. Wyd. „Droga” Sp. z o. o.